

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWÉ MILIONY.

Tłum z francuskiego MARYA SEGENY.

16

— Długo będziesz szukał tego Schmitta, baronku — pomyślał z zadowoleniem.

Kiedy wyszedł i znalazł się na ulicy, zdumiał się nad własną odwagą. Nie mógł poznać samego siebie w tym czynie śmiałym i szerokim.

— Teraz jednak — rzekł do siebie — muszę nadal pozostać jeszcze plenipotentem Kermorów. W rachunkach markiza wyjawić się może brak pół miliona franków. Muszę zatkać tę lukę jakimkolwiek sposobem, naśladując pana barona de Bressien. Posiadam pełne zaufanie markiza, więc mi łatwo będzie wystawić w księgach nieistniejącą jakąś pozycję.

O godzinie jedenastej powrócił do pałacu przy ulicy Boetic. Zaraz na wstępie lokaj oznajmił mu, że markiz pytał kilkakrotnie o niego.

Delrue przybrał więc wyraz twarzy stosowny do okoliczności i udał się do gabinetu markiza.

— Ah! nareszcie! — zawołał pan de Kermor, ujrzawszy go. — Czekałem na pana. Gdzież to się pan ukrywał?

— Byłem na bulwarze Haussmanna, panie markizie.

— W jakim celu?

— Pan de Bressien winien nam wyciągi z sum.

— Nie odbierze ich pan teraz, to pewne. Ale nie oto chodzi, co pan zrobił z Henrykiem?

— Henryk mnie sam opuścił.

— No, no! Nie jestem przecież tak straszny, może mnie pan wtajemniczyć w eskapadę Henryka. No, przynajmniej, Delrue, Henryk się bawi! Nieprawdaż?

— Tak, panie markizie. Spotkał się z przyjaciółmi i dyskretnie opuścił ich towarzystwo pod gmachem Opery.

— To w każdym razie lepsze, niż kanał świętego Marcina, gdzieście błądzili wówczas. Dzielnica o wiele bezpieczniejsza.

Delrue uznał za stosowne nie galopować się zbyt na tym terenie rozmowy, dość zresztą ślizkim. Zanotował sobie tylko w pamięci, że Henryk dotąd jeszcze nie powrócił do domu.

Zaczął więc mówić o czekach i podsunął markizowi książkę rachunkową.

Markiz niedbale podpisywał czeki i rzuciwszy okiem na ogólną sumę, zamieszczoną z wyciągu, zapytał, odsuwając wszystkie papiery od siebie:

— A cóż my teraz zrobimy, panie Delrue, z temi pieniędzmi?

— Możeby pan markiz zagrał na giełdzie? — zaproponował nagle Delrue, pochłonięty nową myślą.

Markiz de Kermor oparł się o poręcz fotela, patrząc ze zdziwieniem na swojego sekretarza.

— Jakto — zawołał — to pan, panie Delrue, dotąd taki ostrożny, proponuje mi rzecz taką? Grę na giełdzie?

— Naturalnie, panie markizie. Chciałbym bardzo przysłużyć się panu dobrą radą, przed opuszczeniem na zawsze domu pana.

— Ah! więc pan mnie opuszcza? Niemita to dla mnie wiadomość! Żałuję bardzo. I dlaczego to?

— Panie, panie markizie, będzie się pan śmiał z moich szalonych zamiarów. Mam nadzieję, że od dziś za trzy miesiące stanę się kolegą po fachu barona de Bressien.

— Tak? Niezła myśl, czy tylko się uda? A fundusze? Może pan odebrał spadek jaki?

— Nie, panie markizie, ale posiadam trochę pieniędzy. Przytem poznałem pewnego Anglika, który interesuje się bardzo akcjami kopalni złota i dla którego operować będę.

— Ale te kopalnie dziś są w zastoju. Bressien sam wpadł w te kombinacje.

— Grał dotąd na zniżkach, ale przekona się pan markiz, że wkrótce odkupi wszystkie akcje po wysokich kursach i wtedy kurs akcji jeszcze podwyższy się może w trójnasób.

— I wówczas stanie się pan także bankierem. Widzę z miny pana, że się już zaangażował. Zaczynasz się dorabiać majątku, życzę szczęścia!

— Przyznaję, że wszystkie oszczędności moje włożyłem do „kopalni złota“.

— W takim razie grasz pan dla barona de Bressien?

— Nie, gram z nim razem!

— Mnie jednak nic podobnego nie proponował.

— On takie dobre rady chowa dla siebie.

— Obrzydliwy sknera! Wiesz co, Delrue, mam

ochotę wypłacać mu figla. Czy jesteś pan dobrze poinformowany?

— Doskonale, panie markizie.

— Dobrze. Nie pytam, skąd pochodzą te informacje, bo wierzę w pana i w dobre zaczęcie interesu. Postąpię za przykładem pana...

— Pan markiz uczyni bardzo rozsądnie.

— A więc, Delrue, zabierz to wszystko i rozporządzaj moją kasą. Graj pan według uznania, jawnie czy skrycie, ale wogóle graj dla mnie.

— W takim razie muszę się pośpieszyć. Trzeba ubiedz barona de Bressien koniecznie.

— A to go urządzimy! Delrue, jeżeli się uda, przystąpię jako wspólnik do twojego banku. Widzę już teraz minę barona, gdy się o tem dowie! Cieszę się bardzo na ten zasłużony odwet!

Delrue umiał poruszyć czulą strunę markiza de Kermor, który pomimo poprawy i postanowień, pozostał zawsze w głębi duszy namiętnym graczem, i który nienawidził szczerze swojego bankiera.

Andrzej Delrue zabrał czeki i księgi rachunkowe i uradowany i szczęśliwy z nowej kombinacji, opuścił gabinet markiza.

Od dnia tego żył on tylko potężniejszym z chwilą każdą pragnieniem odwetu na baronie de Bressien, pragnieniem, które równocześnie miało ziścić najgorętsze jego marzenia i zadowolnić wygórowane, ambitne żądania majątku i sławy.

Andrzej Delrue w tych marzeniach swoich widział się już — jednym z najwybitniejszych finansistów Paryża, przy którym miał zgasnąć długotrwały blask bankiera de Bressien.

Baron, tymczasem, nie wiedząc nic o górnolotnych planach swojego wspólnika, zajmował się spokojnie swoimi sprawami, które dnia tego wcale nieźle się układały, pomimo aresztowania pana Collin-Megret, które zaciemniało cokolwiek jasny horyzont myśli jego.

W dniu tym, możnaby powiedzieć, przebudziły się kopalnie złota, drżące dotąd cokolwiek. Baron rzucił wszystkie akcje w obieg, nie starając się ratować zagrożonej sytuacji. Był zresztą bardzo szczęśliwy, iż mógł sobie ulżyć w ten sposób.

— Delrue działać będzie — myślał z zadowoleniem — Działaj sobie, mój kochanku, masz przed sobą odwieczne i szerokie pole, ale na końcu potkniesz się i opadniesz w dół. — Wolę, że to ciebie spotka, nie mnie.

Jednak suma kupna akcji przynosiła o wiele nieszczęsne pół miliona Andrzeja Delrue, co nie uszło bacznej uwagi bankiera.

— Delrue nietylko sam działa — zauważył — ale poruszył i innych. Wcale nieźle idzie.

W chwili, w której zamykano giełdę, dyrektor kantoru przyszedł do barona z oznajmieniem:

— Nie mamy już ani jednej akcji na kopalnię złota, a zapotrzebowania wzrastają. Kurs się ciągle podnosi.

— Doskonale — szczęśliwy jestem, że się raz tego pozbędę. Nie chcę więcej już o tem wszystkim wiedzieć.

„To wszystko“ było przecież niedawno jedyną jego myślą, ale teraz te okrzyki „kopalnie złota“ okazały się niegodne jego, dzięki związkowi z rodziną Kermorów. Nie istniały już więcej dla przyszłego teścia hrabiego de Kermor. Byłyby nawet niebezpieczeństwem, kompromitacją, grożącą fatalnym kraciem. Pięknie to brzmi, móż powiedzieć o kopalni, w której niema ziarenka piasku, „że się jeszcze znajduje“. Trwać to może czas jakiś, lecz w końcu urwać się musi. Baron de Bressien więc nie chciał już odąd prowadzić ryzykownego przedsiębiorstwa, w którym stracić mógł energię i znaczenie.

Będzie mógł teraz powiedzieć z czystym sumieniem swojemu zięciowi:

— Skończyłem z tem wszystkim, mój kochany. — Zlikwidowałem kopalnię, dając tem przykład mojej klienteli. Od dziś, staję się tylko bankierem arystokracji francuskiej.

Gdyby to „szczęście kopalniane“ potrwało z ośm dni w równej mierze, mógłby znowu stanąć na pewnych nogach.

— Dzięki temu głupcowi — myślał — który stracił swoje pół miliona franków, ja uratuję zagrożonych tam milionów trzydzieści! Interes, jak złoto!

Ale dyrektor zapytał go jeszcze — sądząc, że działał na wspólnie z markizem de Kermor:

— Możeby podnieść kursa, z chwilą, kiedy markiz przestanie kupować?

— Co? — oburzył się baron? — Cóż to, markiz kupuje bez pieniędzy?

— Jakto, pan baron nic o tem nie wie, że markiz skupuje akcje naszej kopalni?

— Oo? to żarty!

— Nie, panie baronie. Jedna z kopalń jest już w jego ręce.

— Jedna z kopalń!

De Bressien powtórzył te słowa z niedającym się opisać przestachem. Czy to być mogło? Kermor kupował? Czemże więc teraz zapłaci po przekonaniu się o ostatecznym pogromie? Dotąd markiz się rujnował, ale na korzyść swojego bankiera i podtrzymywany przez niego.

— Do wszystkich dyabłów — zaklął baron wściekły na siebie — Dolrue go do tego namówił. I ja, głupiec, będę musiał wyrównać braki!

Skoczył do telefonu, podał numer markiza, skacząc, sapiąc, wykrzykując ze złości.

Odezwał się głos Andrzeja Delrue:

— Halo! Kto tam?

— De Bressien — wykrztusił bankier z trudem — chcę natychmiast mówić z markizem.

— Ah! to pan baron, bardzo mi przykro, ale pan markiz przed chwilą wyszedł — zabrzmiał spokojny, zimny głos sekretarza.

— Gdzież się udał?

— Nie wiem, panie baronie.

— A hrabia jest w domu?

— Niema go również.

— Czy pan wie, co się stało od rana. Pracowałeś pan uczciwie, niema co mówić.

— Pan baron ma słuszość. Udało mi się nieźle. Zechce pan wykreślić z wyciągów sumę pół miliona franków.

— Zdaje mi się, że czek na taką sumę był w obiegu.

— Musiałem go koniecznie spieniężyć, panie baronie, z rozkazu markiza.

— I umieściłeś pieniądze w akcjach kopalni?

— Nie mogę panu odpowiedzieć na to.

— Dobrze, dobrze. Nie przeszkodzi to jednak panu odwiedzić mnie w poniedziałek rano.

— Zależęć to będzie od kursu akcji, panie baronie, mówię to panu w zaufaniu, bo skoro należysz już do rodziny...

— Zobaczymy, kto śmiać się będzie ostatni.

— Z pewnością młodszy, kochany baronie, według praw natury i sprawiedliwości.

Gdyby można zadusić kogoś przez telefon, de Bressien byłby dnia tego z pewnością popełnił zbrodnię.

Rzucił tylko z przekleństwem słuchawkę i wsparł się o ścianę, dysząc ciężko.

— Co za głupiec ze mnie, co za głupiec! — myślał, chodząc w chwilę później po swoim gabinecie. — Jak mogłem wpaść na myśl podobną! Jestem teraz zgubiony, zrujnowany doszczętnie przez tego łajdaka Delrue! Ah! gdybym go trzymał w ręce!

Opanował się jednak, włożył futro i kapelusz i zbiegł szybko ze schodów. Złapał na ulicy przejeżdżającą dorózkę i rzucił rozkaz:

— Na giełdę!

W trzy minuty później de Bressien wysiadł przed gmachem, po którym rozchodzili się gorączkowe nawoływania o akcjach kopalni złota.

Bankier, sapiąc z wściekłością, musiał wysłuchać gratulacji od przeróżnych osób znajomych, zanim się mógł dostać do markiza de Kermor, przechadzającego się z zadowoloną i tryumfującą miną po korytarzu.

— Panie Kermor! — zawołał, chwytając go za kłapę surduta. — Co pan zrobiłeś? Ależ to istne szaleństwo! Muszę pana powstrzymać od tego głupstwa!

— Zatrzymać mnie? — odparł z flegmą markiz. — To rzecz już zrobiona, mój baronie. Ale co panu jest? Co znaczy to wzruszenie?

— Jestem zrujnowany, dzięki panu, czy pan to rozumie?

— Nie bardzo!

— Ależ pan się wdał w grę piekielną i jutro...

— Cóż u dyabła! Czy jesteś nieprzytomny, baronie? Kupuję papiery wartościowe, które uważam za korzystne, skoro je pan w obieg puściłeś! Ta kopalnia, sprzedana przez pana, to wspaniały interes.

— To jeszcze nie racja. Ja sprzedaję, bo to mój fach... i nie odpowiadam za przyszłość. Tem gorzej dla tego, co się da złapać.

— A czy ja pana proszę, abyś odpowiadał za mnie? Zapomina pan, że jestem pełnoletni, dzięki Bogu!

— A jeżeli pan przegra?

— To moja rzecz! Co panu do tego?

Bankier zachnął się niecierpliwie.

— Jakże mam pana przekonać? Chce pan wiedzieć całą prawdę? Te kopalnie, ta szczególnie, nic nie warte! Otrzymałem w tym względzie bardzo złe wiadomości.

— Ja zaś przeciwnie, doskonale!

— Ale moje, niestety, są pewne.